

Ściobłowska, Wanda

Z dziejów pielgrzymstwa polskiego, czyli o mojej bytności w Państwie Środka, które nie było Chinami

Przegląd Pruszkowski nr 1, 55-68

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z dziejów pielgrzymstwa polskiego, czyli o mojej bytności w Państwie Środka, które nie było Chinami

Nie odbyłam żadnej podróży do Państwa Środka, najdalszą moją wyprawą na wschód były Sejny w woj. suwalskim. Niemniej przez rok przebywałam prawie w całkowitej izolacji z chińską, kulturalną rodziną z Tajwanu. Mój Gospodarz był profesorem orientalistą, a ja 60-letnią wówczas housekeeper, w tym bowiem wieku pojechałam w 1989 do Stanów. Nie odmówiono mi wizy, gdyż w pojęciu amerykańskiego urzędnika w konsu-



Autorka Wanda Ściobłowska (z prawej) w parku z chińską rodziną.

lacie w Poznaniu nie stanowiłam konkurencji dla amerykańskich bezrobotnych. Odmawiano z reguły pozwolenia na pobyt w Stanach ludziom młodym i w sile wieku, chyba że chytrze woalowali motywy wyjazdu. Pozwoliłam sobie wtedy na psychozabawę. Obserwowałam twarze ludzi wy-

chodzących z sanktuarium, gdzie decydowano o udzieleniu wizy. Młodzi, krzepcy, o niespożytej jeszcze energii życiowej wychodzili ze spuszczo-nymi oczami i ściągniętymi w grymasie wargami. W 90% odmawiano im pobytu. Prawo to uzyskiwały z reguły, choć nie zawsze, osoby powyżej 50 roku życia. Bogate Stany broniły się przed inwazją taniej, prężnej siły roboczej.

Później w bogatych, ekskluzywnych amerykańskich osiedlach widziało się takie widoki: starsze, z reguły po sześćdziesiątce panie, ubrane w stylu, o którym chciało się powiedzieć: skąd ja to znam? To były miejscowe housekeeper, dziewczyny do czarnej roboty, starające się wypracować resztką sił, jaka im pozostała, dolarowe zabezpieczenie na zbliżającą się niedołączną starość.

Z różnym skutkiem pracowałam w domach: arabskim, żydowskim. Nie miałam doświadczenia i nie wiedziałam, jak amerykańscy pracodawcy potrafią wykorzystywać nielegalnie pracujący ludek przybyły z Europy Wschodniej po dolary i lekkomyślnie zrezygnowałam z pracy w kulturalnym, żydowskim domu, gdzie traktowano mnie humanitarnie i serdecznie. Popełniłam jednak ten błąd, odeszłam i zetknęłam się z autentycznym wyzyskiem. Przez kilka miesięcy nie wiodło mi się, aż w końcu dostałam pracę w chińskim domu, rezydencji w ekskluzywnym osiedlu i od razu poczułam się jak u siebie. Nie znaczy to, że wszystko tam było jak w rodzinnym domu, bynajmniej. Jednak atmosfera domu, sposób bycia właścicieli gwarantowały poczucie bezpieczeństwa, dobre wynagrodzenie i wyżywienie.

Właściciele rezydencji przybyli do Stanów z Tajwanu jako młodzi ludzie, nie związani jeszcze rodzinie, w latach sześćdziesiątych, za Kennedy'ego, który otworzył szeroko granice dla Azjatów, Arabów, Chińczyków. Uważam, że między innymi i ten aspekt był przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Amerykanie poczuli się zagrożeni i zaczęli się bronić przed zalewem przybyszów ze Wschodu w sposób administracyjny - nie udzielając zezwolenia na wjazd i pobyt. Nasi wielcy w swoim czasie obronili nas szabelką przed ekspansją kontynentu, który od wieków obfitował w wyże demograficzne i przelewał się na nasze ziemie przez granicę.

Chciałabym wyliczyć pozytywne cechy, które wyróżniały Chińczyków in plus spośród innych, zamieszkałych w Stanach narodowości.

Sam dom - nie była to oszałamiająca bogactwem i urządzeniami rezydencja, typowa dla bogatych Arabów, którzy przywieźli z sobą petrodolary.

Był to dom dostatni, wygodny, architektonicznie harmonijny. Wszystko w nim było miłe i celowe, służące ludziom, a nie podkreślaniu przez zewnętrzną ostentację stanu konta. Chodzenie po tym domu i praca w nim

były źródłem przyjemności. Wszystko tam było piękne, celowe, wygodne, jasne, nic nie raziło. Byli bardzo ostrożni w zagospodarowaniu wnętrza, które były nietypowe dla Ameryki i piękne. Żadnych ozdóbek, błyskotek, służących raczej porażeniu i oszołomieniu wzrokowemu niż rzeczywistej przyjemności. Moi Chińczycy mieli wyposażenie o wartości artystycznej, niestandardowe, latami ściągane z Tajwanu.

Wielki na 12 osób, okrągły, rzeźbiony stół z mahoniem z nakładką obrotową w środku, na której ustawiano półmiski. Nie trzeba było nikogo prosić o podawanie, przysuwanie ciężkiego półmiska. Kręciło się nakładką, aż naczynie z pożądaną potrawą znalazło się na wprost talerza. Do kompletu było 12 rzeźbionych tymi samymi motywami krzesel. Wszystko ustawione na przepięknym chińskim dywanie: na kremowym tle pastelowe kwiaty. Dywan był tak gęsto tkany i sprężysty, że te ciężkie meble nie były w stanie zagiąć włosia.

Salon dekorowały piękne wazy, roślinność i stoliki z laki, ponoć z dziewiętnastowiecznego domu rozrywki.

W holu na wprost wejścia wysoki na dwa metry czarny parawan rzeźbiony w ptaki brodzące w bagiennej roślinności. Przepiękny.

W sypialni szafy, szafka, komody mahoniowe, doskonałej roboty, niezniszczalne. Wnętrza niezagracone, przejrzyste, pięknie oświetlone. Hol i reprezentacyjna łazienka dla gości wyłożone różowym marmurem.

W kuchni, naprzeciw zlewozmywaka okno o wymiarach 1,5 x 1 m z szerokim parapetem i roślinami, widokiem na taras i altanę, drzewa grodzące posiadłość. Pięknie.

Nie mówili moi Chińczycy, czy przyjechali do Stanów z jakimiś zasobami. Pani w poufnych rozmowach wspominała tylko, że mąż pochodził z niezamożnej rodziny. Uczył się i pracował przy krojeniu i płukaniu jarzyn w chińskiej restauracji. Po 22 latach pobytu w Stanach miał rezydencję, dom jednorodzinny w dobrej dzielnicy, był właścicielem trzech szkół, wykładowcą na uniwersytecie, szanowanym i cenionym przez miejscowe władze polityczne i administracyjne oraz środowisko chińskie.

Te wszystkie osiągnięcia w Stanach były podporządkowane priorytetowi: rodzinie. Moi Chińczycy byli wzorową rodziną. Oboje wiele pracowali, nieraz byli zmęczeni, spięci i na tym tle powstawały między nimi nieporozumienia, które były nader burzliwe. I w typowy dla burzy sposób, po wyładowaniu następowała pogoda, miła atmosfera, wzajemne grzeczności. Nigdy nie przedłużali tych chwilowych nieporozumień, nie drażyli, nie wymawiali sobie niczego. Dalej postępowali tak, jakby nic się nie wydarzyło. Widać było, że są dla siebie wszystkim. Kiedyś żona profesora zachorowała i znalazła się w szpitalu. Trwało to parę tygodni. W tym czasie jej mąż minimalnie wypoczywał, wstawał wcześniej, odwoził synów do

szkół (każdego w innym kierunku), czuwał nad nimi, robił zakupy, a wieczory wspólnie z dziećmi spędzał w szpitalu przy żonie.

Moja Chinka często powtarzała, że dom to nie hotel i każdy z domowników ma się w nim czuć dobrze. Pozornie dzieciom wolno było wszystko, ale tylko pozornie. Dotyczyło to swobody bycia, upodobań, wypoczynku, jedzenia. Prawie niczego nie zakazywano, ale wiadomo było, że są rzeczy, których nie należy robić. Chińczycy bardzo skrupulatnie przyglądali się kolegom synów, obserwowali ich z dystansu, pozornie nie wkraczając w ich zabawy. Jeśli jednak stwierdzili, że koledzy mają zły wpływ na synów, wyrażali swoją opinię i nigdy więcej ci swobodni młodzieńcy nie odwiedzili ich domu.

W amerykańskich domach łatwo jest prowadzić inwigilację młodzieży przez wewnętrzny system łączności i nasłuchu. Np. włączało się w sypialni Gospodarzy odpowiedni przycisk i słychać było nie tylko rozmowy z wybranego pomieszczenia, ale nawet szmer przewracanych kartek. Mnie też w ten sposób kontrolowano.

Kiedyś 5-letni Aleks wrócił ze szkoły, przybiegł do kuchni i zaczął mi demonstrować nowo poznane chwyt z kung-fu. Zrobiło się lekkie zamieszanie. Wprawdzie nikt nie przyszedł uspokajając nas, ale wieczorem Chin-ka spytała, co za rechwach czyniliśmy dziś z Alekssem.

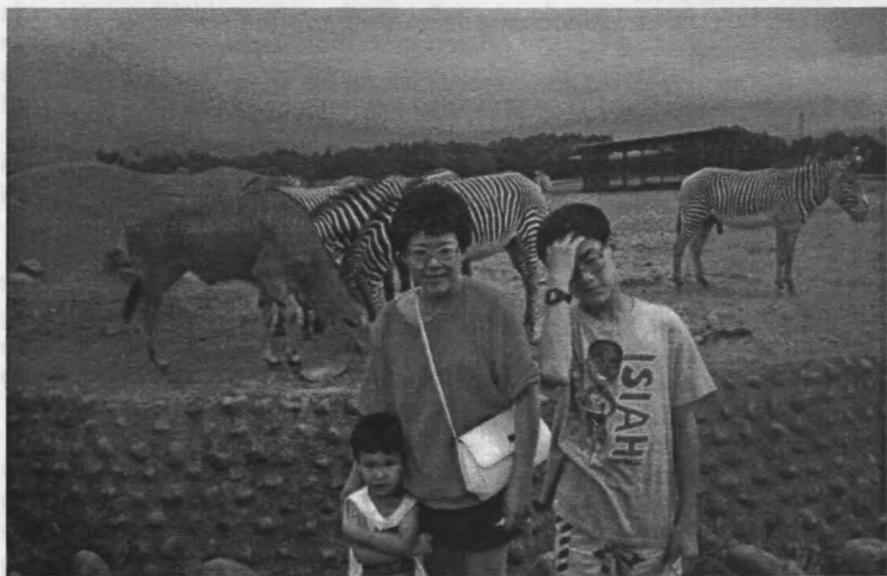
Dzieci były wyjątkowo urocze. Do dziś mam je w sercu. Starszy, 15-letni Albert był wzorowym uczniem, miał dużą wiedzę. W czasie długich przejazdów samochodem nie tracił czasu, nie nudził się, ale zawsze miał z sobą jakąś wartościową książkę z dziedziny biologii, geografii i wertował ją. Był bardzo dobry. Nieraz miał chęć zbuntować się, ale kochał rodziców i spełniał ich wolę. Był świadomy tego, że rodzice chcą dobrze. Był uprzejmy na sposób chiński, nie były to jednak powierzchowne gesty, wynikały z życzliwości dla otoczenia. Kiedy na przykład wielokrotnie w ciągu dnia spotykaliśmy się w przejściu, na schodach, w kuchni, zawsze mnie przy tym pozdrawiał. Skłaniał głowę i mówił: halo Marya (takie przybrałam imię dla użytku służbowego). Zdarzyło się raz, że miałam nieuzasadnione przykrości od jego matki. Był przy tym obecny i sądząc po jego minie myślałam, że solidaryzuje się z matką. Pomyliłam się. Za chwilę przyszedł do mojego pokoju i powiedział:

- Przepraszam cię za moją mamę, ona jest taka nerwowa.

Raz byłam świadkiem, jak matka dosłownie go unicestwiła. Była to sobota i ojciec odwoził chłopców do chińskiej szkoły. Przez pięć dni tygodnia chodzili do prywatnych szkół amerykańskich, ale w soboty dokształcali się w chińskiej szkole. Uczyli się języka, pisma, geografii, historii, kultury chińskiej. Już wychodził, już był za progiem, kiedy matka go zawołała. Odpowiedział coś niegrzecznie. I wtedy zaczęło się, istny tajfun. Matka

odwołała go, kazała mu uklęknąć w holu i rozpoczęła po chińsku wygawor. Trwało to z godzinę. Nic z tego nie rozumiałam, ale treści można się było domyśleć - zmywała mu głowę. Dźwięki wypowiedzianych po chińsku słów brzmiały twardo, szczekliwie, cięży jak stal. Chłopiec klęczał i palcami obu rąk dotykał podłogi. Pozycja nader korna. Potem matka zakończyła reprimendę i poleciła mu odejść. Odszedł na klęczkach, w tej pozycji przeszedł po schodach do swojego pokoju. Po dwóch godzinach zszedł również na klęczkach przez długi hol do pomieszczenia, gdzie była matka. Przeprosił ją i z ulgą przyjął przebaczenie. Twarz jaśniała mu przy tym z radości. Ani cienia żalu czy pretensji do matki. Całe to wydarzenie było dla mnie wstrząsające. Lubiłam bardzo Alberta i jego przeżycie, upokorzenie zabolowało mnie mocno. Przyjął tę, niecodzienną przecież karę, jako zastużoną i był szczęśliwy, gdy matka mu przebaczyła.

Podporządkował się całkowicie życzeniom rodziców. Wolno mu nato-



Mama z Alekssem i Albertem.

miast było: robić bałagan (jeśli nie wykorzystywał tego maksymalnie, to dlatego, że w naturze Chińczyków jest zakodowany ład, porządek), skakać z bratem po łóżku rodziców, wysypiać się do woli w wybranych przez siebie chwilach, kłaść się późno spać. Rodzice nie ingerowali tu z dwóch powodów: Albert miał specyficzny zegar biologiczny, odziedziczony po matce - potrzebę snu w godzinach rannych, a pracy w wieczornych. Był

bardzo dobrym, wzorowym uczniem. Skoro wypełniał najważniejsze zadania swego wieku: zdrowo się chował i dobrze się uczył, rodzice nie wprowadzali żadnych poprawek w jego stylu życia. Nieraz po powrocie ze szkoły kładł się i przesypiał kilka godzin. Nie wolno go było wtedy budzić do posiłku.

Następny przywilej odnosił się do wyboru pożywienia. Główny posiłek dnia był obfity i urozmaicony: ryż, dwa rodzaje mięsa, kilka rodzajów warzyw, zupa, sok owocowy, mleko. Chłopcy nieraz przychodzili do stołu, popatrzyli i nie znajdując dla siebie nic, na co by mieli ochotę, penetrowali lodówkę. Jeśli i tam nie znaleźli nic dla siebie, dzwonili do pizzerii i zamawiali pizzę. Przepadali za nią. W pół godziny odbierali świeżą, gorącą pizzę. Rodzice nic wtedy nie mówili: patrzyli, wzdychali, ale nie protestowali. Żadnego nukania: popatrz, tyle dobrych rzeczy na stole, a ty zamawiasz tę mało wartościową pizzę. Jedzenie zbierało się ze stołu, kładło do pojemników i do lodówki.

Wolno było także chłopcom pomarudzić, czegoś nie chcieć, na coś nie mieć ochoty.

Te wszystkie ulgi, ustępstwa rodzicielskie nie miały jednak wpływu na całokształt życia rodzinnego. Wszystko było podporządkowane dobru rodzinnemu. Jeśli tylko można było - wszędzie razem wyjeżdżali, razem spędzali czas. Rodzice nie bawili się w tak dokuczliwe u nas mentorstwo. Na błahe sprawy w ogóle nie reagowali. Dzieci znały granicę swobodnego postępowania i nie przekraczały jej. Ciągłe się wzajemnie obdarzali, robili sobie przyjemności. Od starszego syna wymagali, aby był opiekuńczym w stosunku do młodszego. W obecności rodziców Albert przekornie oponował, ale w ich nieobecności był dla małego najlepszym opiekunem. Czuwał nad nim jak najlepszy ojciec. Były to dla mnie wzruszające widoki. Przepadałam za tymi chińskimi chłopcami. Miałam dla nich nie mniej sentymentu niż dla moich rodzonych wnuków. Nieraz serce ścisła mi się na myśl, że nigdy ich nie zobaczę.

Młodszy Aleks był uroczy. Urodzony aktor. Potrafił inscenizować korzystne dla siebie sytuacje. Miał głos jak cenny instrument, którym zniewalał ludzi. Nikt nie był w stanie niczego mu odmówić. Była w nim też dziłość azjatycka, spontaniczne, gwałtowne reakcje. Na przykład do brata przyjechali na weekend koledzy, amerykańskie piętnastolatki. Małemu pozwolono z nimi przebywać, ale w końcu starszym sprzykrzyło się jego towarzystwo. Byli w wieku dojrzewania, chcieli sobie porozmawiać na "niedozwolone tematy". Wyprosilili więc Aleksa za drzwi. Byłam w kuchni, a tu wpada Aleks, otwiera szufladę z nożami i zaczyna szukać między tymi długimi i szpiczastymi. Zawsze byłam czujna na bezpieczeństwo dzieci i pytam Aleksa:

- Do czego ci to?

Odpowiada:

- Na chłopców! - i leci z ostrym szpikulcem na piętro. Dobrze musiałam się natrudzić, aby wyłuskać ten nóż z zaciśniętej piąstki Aleksa. Nie było to łatwe. Nie chciałam sama się skaleczyć i uszkodzić delikatnej rączki chłopca. Był jak w amoku. Jego skośne oczka skosiły się tak bardzo, że widać było tylko białka. Gonił mnie później po kuchni, która na szczęście dawała możliwość ucieczki. Powoli gniewny nastrój wyparował z Aleksa.

Dwa razy wezwał na mnie policję. Za pierwszym razem byli rodzice i wyjaśnili nieporozumienie. Za drugim byłam sama. Sprzątałam, co jakiś czas naganiając małego do zjedzenia płatków z mlekiem. Była to jego 3-dniówka, kiedy nic nie jadł i martwiłam się tym. Zachęcałam więc co jakiś czas, aby coś zjadł. Aleks miał tego dosyć, uważał, że to zamach na jego suwerenność i wezwał policję. Widziałam, że wdrapywał się na stółek, aby odczytać jakiś numer, ale sądziłam, że chce dzwonić do rodziców. W niedługim czasie usłyszałam dzwonek do drzwi. Podejrzliwie przyjrzałam się policjantowi czy aby "prawdziwy", ale uspokoiłam się widząc za nim furgonetkę policyjną ze znanymi emblematami. Policjant wezwany przez Aleksa przyjechał przeprowadzić dochodzenie, czy małemu nie dzieje się krzywda. Najpierw wypytał mnie. Potem przesłuchał na osobności Aleksa. Powiedziałam:

- Skoro pan tu już jest, może pan skłoni małego, aby coś zjadł?

Nie uchybiło to amerykańskiemu policjantowi. Wziął miseczkę z mlekiem i zaczął karmić Aleksa. Potem pojechał do szkoły Alberta i przywiózł go do domu, aby był z małym. Porozumiał się też z rodzicami. Tata-Chińczyk był niezadowolony z wkroczenia policji na jego terytorium. Mały otrzymał odpowiednie polecenie:

- Pamiętaj, nigdy nie wzywaj policji.

Całą tę rodzinę zachowałam bardzo dobrze w pamięci. Unosili się dość szybko, ale wybacжали i jeśli czuli, że zawinili, starali się zadość uczynić. Mieli serdeczne i szczodre gesty. Zaczęłam u nich pracę, kiedy w Polsce mięso było na kartki. Zachęcali mnie do jedzenia mięsa, owoców, kupowali dla mnie dobre wędliny. Zupełnie niepotrzebnie. Mój organizm nie wymaga dużo mięsa, którego u nich było ponad moje potrzeby. Brakowało mi tam chleba, którego oni jedli niewiele, symbolicznie - jeden bocheneczek na pięć osób na tydzień. Ot, na wypadek, gdyby komuś zachciało się zjeść grzanekę na śniadanie. Nie mogłam żyć bez chleba. Trochę mnie krępowały prośby, aby kupowali więcej. Byli zdumieni, że można jeść tyle chleba. Nieraz wieczorem zaglądałam do lodówki i zastanawiałam się, co

by tu zjeść. Wychodziło na to, że dla mnie nic nie ma. Było dużo mięsa przyrządzonego po chińsku, szynki, ryżu, masła, sera żółtego, soków, ale ja poszukiwałam chleba, którego nie było. Pozostał mi uraz: po przyjeździe do Polski kupuję więcej chleba niż mogę zjeść i jem więcej niż powinnam.



Pan profesor z synami Albertem i Alekssem.

Jak wygląda chińska uprzejmość na co dzień? Tak jak polska w dawnych kulturalnych domach. Liczenie się z innymi, czynienie grzecznych gestów. Jakie przejawy ich grzeczności najbardziej mnie zaskakiwały? Otóż rozmowy telefoniczne. Jakoś tak się zdarzało, że najwięcej ich było w porze głównego posiłku dnia - między godz. 18 - 18.30. Zasiadali do stołu autentycznie głodni i zmęczeni. Szczególnie Gospodarz był wypompowany po całym dniu. Rano wyjeżdżał o godz. siódmej i zabierał z sobą starszego syna Alberta, aby go zawieźć do szkoły. Do domu wracał przed godziną osiemną. Przed chwilą Chińczyk ledwie mógł głos dobrać, tak był znużony. W rozmowie telefonicznej mobilizował się, głos nabierał aksamitnych dźwięków, które darowywał sobie na codzienny użytek, cieszył się z rozmowy, tak jakby przez cały dzień czekał na ten telefon. Bynajmniej nie przyspieszał, serwował cały rytuał grzecznościowych

zwrotów, słuchał cierpliwie i po 15 - 20 minutach rozmowy siadał do stołu, do zimnych, stężonych potraw. Za parę minut znów telefon i od początku to samo. Nie okazywał zniecierpliwienia, nie mówił:

- Właśnie jestem przy obiedzie, za chwilę przedzwonię.

Nic z tych rzeczy. Czasami zdarzało się, że spokojnie zjadał obiad, bez żadnych przeszkód, ale bardzo rzadko. Miał dolegliwości żołądkowe, przypuszczam, że na tym podłożu, ale "nie dawał im pierwszeństwa". Grzeczność przede wszystkim. Dla mnie również był grzeczny i życzliwy, gdyż stwierdził moją przydatność dla rodziny.

U Chińczyków nie do pomyślenia jest lekceważący stosunek do starszych. W domu mojego Gospodarza mieszkała teściowa, która w wieku 60 lat straciła sprawność umysłu i zdolność kontaktowania się z otoczeniem. Mimo to była miła i niekłopotliwa. Uśmiechała się, nie miała żadnych wymagań. Niemniej twarz jej, na której nie gościła żadna myśl, nie miała zbyt miłego wyrazu, szczególnie dla człowieka, który ciężko pracował cały dzień i spodziewa się miłszych widoków we własnym domu. Owa nie funkcjonująca umysłowo teściowa zasiadała po prawej ręce Gospodarza. Czynił w stosunku do niej gesty grzecznościowe:

- How are you? - przysuwał miseczkę z jedzeniem.

Czuło się czasem, że go to sąsiedztwo drażni, ale nigdy nic nie mówił na ten temat, nie reagował. To samo dzieci. Skoro babcia nie była do rozmowy, to omijali ją, ale nie robili jej żadnych kawałów. Chinka była dla matki najlepszą, najczulszą córką. Nie próbowała z nią rozmawiać, gdyż byłoby to bezcelowe, ale dbała o jej potrzeby, wozila do dentysty, fryzjera, na zakupy, stroiła nie mniej niż siebie. Stara matka miała stale uzupełniany zestaw kosmetyków, była codziennie kąpana, pielęgnowana. W wieku siedemdziesięciu lat wyglądała najwyżej na czterdzieści pięć - bez zmarszczek, gładka, zadbana.

Kontakty towarzyskie urzymywali przede wszystkim w kręgu chińskiej społeczności. Oni wszyscy wzajemnie sobie pomagali, podtrzymywali się. Mój Gospodarz był tzw. człowiekiem społecznym. Wszyscy Chińczycy z najbliższych znajomych coś mu zawdzięczali. Rozstrzygał także ich sprawy sporne. Robił to w sposób bardzo wyważony, nie urażając niczych uczuć. Miał wielki prestiż w miejscowej chińskiej społeczności. Załatwiał sprawy swoich ziomków, doradzał im, wskazywał na możliwości korzystnych rozwiązań egzystencjalnych. Przyjmował w swoim domu chińskich studentów, nie jak podwładnych i zależnych, ale z całym chińskim ceremoniałem i zasobnym, wyszukany poczęstunkiem.

Moi Gospodarze mieli co najmniej cztery do pięciu wieczorów w tygodniu zajętych na różne imprezy towarzyskie. Czasem chodzili z synami, ale przeważnie sami. Raz w roku urządzali przyjęcie ogrodowe dla

zaprzyjaźnionych rodzin chińskich. Przychodziło sześćdziesiąt do osiemdziesięciu osób. Każda rodzina przynosiła jedną potrawę. Gospodarze przygotowywali dwie, trzy potrawy, owoce, napoje, słodczyce. Były to typowe chińskie smakołyki. Tak jak w Polsce największym uznaniem cieszyły się pierogi. Inaczej robione niż u nas, bardziej pikantne, ale smakowite. Gospodarz nie dopuszczał, aby ktokolwiek czuł się osamotnionym, niezauważonym. Podchodził do każdej grupy osób, prowadził grzecznościowe rozmowy, organizował wspólne gry towarzyskie, wyświetlał przygotowane na ten cel filmy, wyjaśniał, uzupełniał.

Te rodzinne spotkania były bezalkoholowe. Używano zastawy biwakowej, jednorazowego użytku. Przed zakończeniem przyjęcia każdy otrzymywał czyste, umyte naczynie, w którym przyniósł potrawę. Na ogół wszystko zjadano, z wyjątkiem potraw, które i ja uważałam za niesmaczne. Te pozostawały i trudno było namówić kogoś, aby wziął je do domu, wymigiwano się, że mają pełną lodówkę. Pierogi, bez względu na to ile ich było, znikaly bardzo szybko.

Prawdopodobnie wszystkie chińskie rodziny w letnim sezonie urządziły w swoich domach takie duże spotkania, gdyż moja Chinka nieraz w niedzielę przygotowywała jakieś specjalne danie w sporej ilości, ładnie pakowała i wyjeżdżała na całe popołudnie z mężem i dziećmi. Mówiła, że jej potrawy zawsze zjadane są co do ździebła i na samym początku. Wierzę w to, gdyż doskonale gotowała.

Innym rodzajem spotkań były wykwintne przyjęcia przygotowywane od A do Z w domu. Wtedy już zasiadało się przy przepięknym mahoniowym stole z nakładką, wyjmowało piękną porcelanę w kolorze terrakoty ze złotymi ornamentami, ślicznie nakrywało stół. Chinka zamawiała w kwaciarni kompozycje kwiatowe do pokojów, w których mieli przebywać goście. Nie widziałam rachunków z kwaciarni, ale przypuszczam, że były wysokie. A potrawy? Jeśli to było przyjęcie dla liderów życia politycznego (przedstawiciele chińskiej ambasady) i naukowego (profesorowie uniwersytetu i studenci) dobór potraw był *par excellence* chiński.

Zestaw potraw: ryż, bułeczki robione na parze, pierogi z wieprzowiny z dziwną ostrą trawą pochodzenia cebulowego, nadzwyczaj smaczną, kraby, krewetki z grochem sojowym, kapusta chińska z grzybami i specjalnymi przyprawami o specyficznym, słodkim smaku, pieczeń na słodko po chińsku, wędliny, szynka z kością pokrojona na płyty 4 mm grubości, podana w stojaku, krucha i soczysta, jarzyny przyrządzone po chińsku z kurczakiem, schabem lub wołową połędwicą, pieczarki i na koniec rytualna zupa z ryżu z kurczakiem. Jest to kleik ryżowy bez soli z rozdrobnionym na miazgę kurczakiem. Dla mnie to mdłe i niesmaczne, ale dla Chińczyków ta potrawa podana na zakończenie uczy, ma wręcz znaczenie rytualne.

Potem podaje się soki, herbatę. Bynajmniej nie jest wymagane, aby była gorąca. Wystarczy, jeśli jest ciepła. Jest to wysokiego gatunku herbata (20-30 dkg kosztuje ok. 40 dolarów) koloru jasnego bursztynu, niewypowiedzianie delikatnego smaku i zapachu. Pierwszy raz (i chyba ostatni) w życiu piłam taką herbatę. Nie jest ona łatwo dostępna nawet w Chinach. Użyję określenia z niedawnej przeszłości peerelowskiej: jest to przysmak pozarynkowy, nie ma jej w sklepach. Krąży w jakimś specjalnym obiegu, na zamówienia zamożnych lub prominentnych. Po tych wszystkich posilnych potrawach, herbacie, podaje się torty, ciasta made in USA albo z Chinatown, jeśli można wyskoczyć szybko przez granicę do Toronto i tam kupić chińskie smakołyki. Zapamiętałam kulki z ryżowego krochmalu z nadzieniem podobnym do powideł śliwkowych (ale tylko podobnym), obsypane cukrem z orzechami. Inne również bardzo dobre.

Alkohol dopiero na zakończenie - koniak doskonałej marki lub rum baccardi. Uczestnicy nie piją, lecz zwilżają tym wargi i prawie nieruszone pozostawiają kielichy na stole. Skrzętna gospodyni nie wylewa tego alkoholu, zlewa do pojemnika i używa później do ciast i potraw.

Na tych wszystkich przyjęciach - rodzinnych i oficjalnych wszyscy zachowują się w miły sposób, nie ma nieodpowiedzialnych zachowań.

Na przyjęcia mniej ceremonialne, dla studentów i bliskich przyjaciół przygotowuje się różne potrawy, z tym, że chińskie dominują. Bardzo podobała mi się zupa na takim przyjęciu według przepisu amerykańskich przyjaciół: gotowana w dużym garze, na dużej ilości wołowej przęgi, z jarzynami: cebulą, marchwią, kapustą, selerem naciowym, ziemniakami i świeżymi pomidorami. Gotowana na wolnym ogniu daje doskonały rezultat smakowy. Naturalnie dbała o gości pani domu na kilka dni przedtem przygotowuje pierogi i zamraża je. Są to pierogi nadziewane surową wieprzowiną łączoną ze specyficznie chińską, nieznaną w Europie jarzyną. Wygląda jak nasza ostra, szablasta trawa, ale jest pochodzenia cebulowego i daje niepowtarzalny smak pierogom. Podawana jest też jako samoistna potrawa, połączona jajkiem i wypiekana jako duży placek na patelni. Znakomita. Ponadto krewetki, kraby, chińska kapusta z grzybami, indyk pieczony z borówkami, fasolka szparagowa zapiekana na patelni, wiele nieznanych u nas jarzyn prażonych na oleju, bułeczki na parze, pieczeń na słodko po chińsku. Jak zawsze sztandarową potrawą jest ryż, a na zakończenie potraw mięsnych - kleik ryżowy.

Kuchnia chińska to niezgłębiony temat, nie można go załatwić jak w przypadku polskiej kuchni paroma słowami: pierogi, bigos, kotlety schabowe, naleśniki, gołąbki, placki. Tam występuje niezliczona ilość produktów, przypraw, jarzyn. Inne są też sposoby obróbki mięsa.

Zupy w chińskiej kuchni mają charakter bulionów, wymieszanych z paroma listkami jarzyn (szpinaku, dyni, kapusty), podawane na zakończenie posiłku.

Specyficzną chińską zupą, która ma niemal mistyczne znaczenie, jest kleik ryżowy gotowany przez dwie godziny na bardzo małym ogniu i bez soli. Otóż w Chinach, gdzie pożywienia z reguły jest za mało, a od czasu do czasu występują kłęski głodu, uważano, że sytuacja nie jest zła, jeśli domownik przed pójściem do pracy otrzyma miseczkę ryżu, a właściwie kleiku ryżowego. Ten żel spełnia rolę poduszki wyścielającej żołądek. Dobra matka i żona wstawiała o świcie, rozpałała ogień i gotowała przez dwie godziny ten kleik ryżowy. Chronił on przed wyczerpaniem organizmu i miał dla Chińczyków takie znaczenie jak nasza inwokacja: "Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj..." Chińczycy są bardzo drażliwi na marnotrawstwo żywności, gdyż oni wiedzą, co to znaczy umierać z głodu.

Europejczykom, Amerykanom kuchnia chińska, ale nie ta dla biedoty, tylko kuchnia średniego stanu lub ludzi zamożnych, smakuje. Natomiast nasza Chińczykom nie odpowiada - jest mdła, ciężka, tłusta, za mało w niej różnorodnych jarzyn.

Dopiero w domu moich chińskich Gospodarzy przekonałam się, że Chińczycy nie jadają chleba. Podstawowym pożywieniem jest ryż - trzy razy dziennie. Bułeczki na parze lub pieczone, to przysmak bogatych. Ogół tego nie jada.

Drugim co do ważności produktem, bez którego nie byłoby chińskiej kuchni jest soja. W postaci kiełek, ziarna, mleka, serka białego lub wędzonego, sosów niezliczonej ilości rodzajów, makaronu. To świetny, smaczny, pożywny produkt.

Jeśli chodzi o główne czynności przy sporządzaniu chińskich potraw, można je określić lapidarnym: mieszaj i smaź! Długo się przygotowuje, kroi, marynuje mięso, doprawia, ale na patelni jest raptem 2 minuty. To samo dotyczy jarzyn. A potem już tylko talerz - przepraszam - miseczka i pałeczki.

Jedzenie pałeczkami nie jest sposobem estetycznym. W warunkach domowego posiłku trzyma się miseczkę blisko ust i spycha pałeczką jedzenie do otwartego "szybu". Nie jest to eleganckie. Wolałam się temu nie przypatrywać. Owszem, są delikatniejsze sposoby jedzenia, ale stosowane są z reguły przy gościach i gdy każdy stara się sprawić wrażenie, że nie jest głodny. Wolę widelec.

Wychowanie europejskie niweluje pewne naturalne odruchy, na przykład sytości po jedzeniu. Nigdy nie słyszałam, nawet w najbardziej intymnej atmosferze, u rodziny, znajomych odgłosów wydawanych po jedzeniu

w formie tak zwanego beknięcia. Chińczykom nawet przez myśl by nie przyszło tłumić te odgłosy. Są przyjęte w biesiadowaniu i każdy, kto czuje tego potrzebę, z satysfakcją wydaje ten odgłos.

Nie próbowałam uczyć się jedzenia pałeczkami. Stwierdziłam: nie mam na to czasu, muszę się najeść, a w środowisku chińskim nie mam zamiaru spędzić reszty życia, a gdyby nawet, to i tak nie widziałam potrzeby w upodabnianiu się do nich. Pamiętam jak starsza Chinka z dezaprobatą patrzyła na moje jedzenie widelcem, mimo że robiłam to zreżcznie i przypuszczam bardziej estetycznie, niż gdybym chwyciła się za pałeczki. Niemniej ludzie nie lubią odmieńców.

Moi Gospodarze życzliwie tolerowali moje zwyczaje. Poza tym wyciągali ode mnie różne przepisy kulinarne i prosili o ugotowanie czegoś, co jest w Polsce lubiane. Nie próbowałam brać się za pierogi, bo według mnie ich pierogowa technologia jest lepsza, a poza tym są czasożłonne, ale zaproponowałam gołąbki, czyli kapustę z mięsem i ryżem w sosie pomidorowym. Chińskie małżeństwo łaskawie tolerowało tę potrawę, natomiast chłopcy przepadali za nią, nigdy jej nie było dla nich dość. Powtarzali to danie na kolację i następnego dnia, a gdy wreszcie się skończyło, okazywali niezadowolenie. Robiłam dla chłopców omlety z różnym nadzieniem: mięsem, jabłkami, szpinakiem. Smakowało im to, ale preferowali gołąbki z kapusty i często mówili:

- Zrób polish food.

Kiedyś zrobiłam dla siebie kluski łyżką kładzione, jako namiastkę chleba, którego zawsze było mi mało. Chłopcy zajrzeli do talerza, spróbowali, stwierdzili, że świetne i zjedli wszystko. Od tej pory musiałam to dla nich gotować. Uważali kluski kładzione za wykwintne danie. Nie wyprowadzałam ich z błędu. Akceptowali również kopytka z jakimś sosem mięsny i nasz rodzaj naleśników. Chińskie naleśniki są inne. Z ciasta zagniecionego jak na makaron i obsmażonego na oleju. Zawijało się w te placki bardzo skomplikowane nadzienie z produktów sporządzonych po chińsku: kawałków schabu i polędwicy, pieczarek, fasolki szparagowej, kapusty, grzybów, jajecznic. To nadzienie wkładało się do placków upieczonych na patelni i podawało na gorąco. Bardzo smaczne i skomplikowane. Każdą część nadzienia przygotowywało się oddzielnie, a potem razem mieszało.

Pobyt w chińskim, kulturalnym domu bardzo wzbogacił mnie wewnątrz: poznałam ludzi o zupełnie innym doświadczeniu historycznym, ale z właściwymi wszystkim ludziom odruchami i animozjami. Moich pracodawców lubiłam i szanowałam, a za chłopcami przepadałam. Przeszli przez moje życie jak film, który już nigdy nie zostanie odtworzony.

Lubiłam ich i czułam się z nimi dobrze. Wiedziałam, że w razie trudnej sytuacji mogę na nich liczyć. Sami mieli bardzo pracowite życie, ale znaj-

dowali czas na zaspokojenie moich potrzeb, pozwalali mi dzwonić do Polski, dawali swoje lekarstwa, gdy źle się czułam.

Cały czas miałam wrażenie tymczasowości, sztuczności wszystkiego co robię i samego otoczenia. Myślę, że w ten sposób objawiała się tęsknota za własnym, rodzinnym kątem i rzeczywiście bliskimi ludźmi. Z peregrynacji tej wyciągnęłam naukę: nie nadaję się na emigranta.

Na zakończenie przedstawię scenkę. Jest godzina 23. Śpię pierwszym mocnym snem osoby, która się nie leniła przez cały dzień. Nagle zapala się światło i przy moim łóżku staje filigranowa postać chińskiego chłopczyka, Aleksa, który mówi:

- Marya, jestem głodny.

Wszelkie takie wezwania Aleksa natychmiast się zaspokajało, gdyż był to typowy niejadek. Wstawałam więc, brałam go za rączkę i szłam z nim do kuchni. Tam pytałam:

- Co chcesz zjeść Aleks?

Odpowiadał ufnie: - Chcę lody!

Dawałam mu łyżeczkę tych lodów i prowadziłam do łóżka. Naprawdę nie chodziło mu ani o jedzenie ani o lody, gdyż Aleks był nie tylko niejadkiem, potrzebował bardzo mało snu i tęsknił wieczorem do towarzystwa, gdy nie mógł zasnąć. A pretekst: jestem głodny, był jak najbardziej skuteczny. Kiedy powiedziałam Aleksowi o moim zamiarze powrotu do Polski, zapytał z niepokojem: Ale wrócisz, prawda?

Nie wróciłam. Rzadko wspominam ten dom i miłych mi chłopców, gdyż wywołuje to u mnie silne rozrzewnienie. Czuję wtedy brutalną prawdę, że nie stać mnie na to, aby jako turystka pojechać do Stanów i spotkać się z nimi. Nieraz, w ciemnościach nocy, wywołuję wspomnienie małej, uroczej, filigranowej figurki Aleksa, chińskiego chłopczyka i głos:

- Marya, I wont ice cream -.